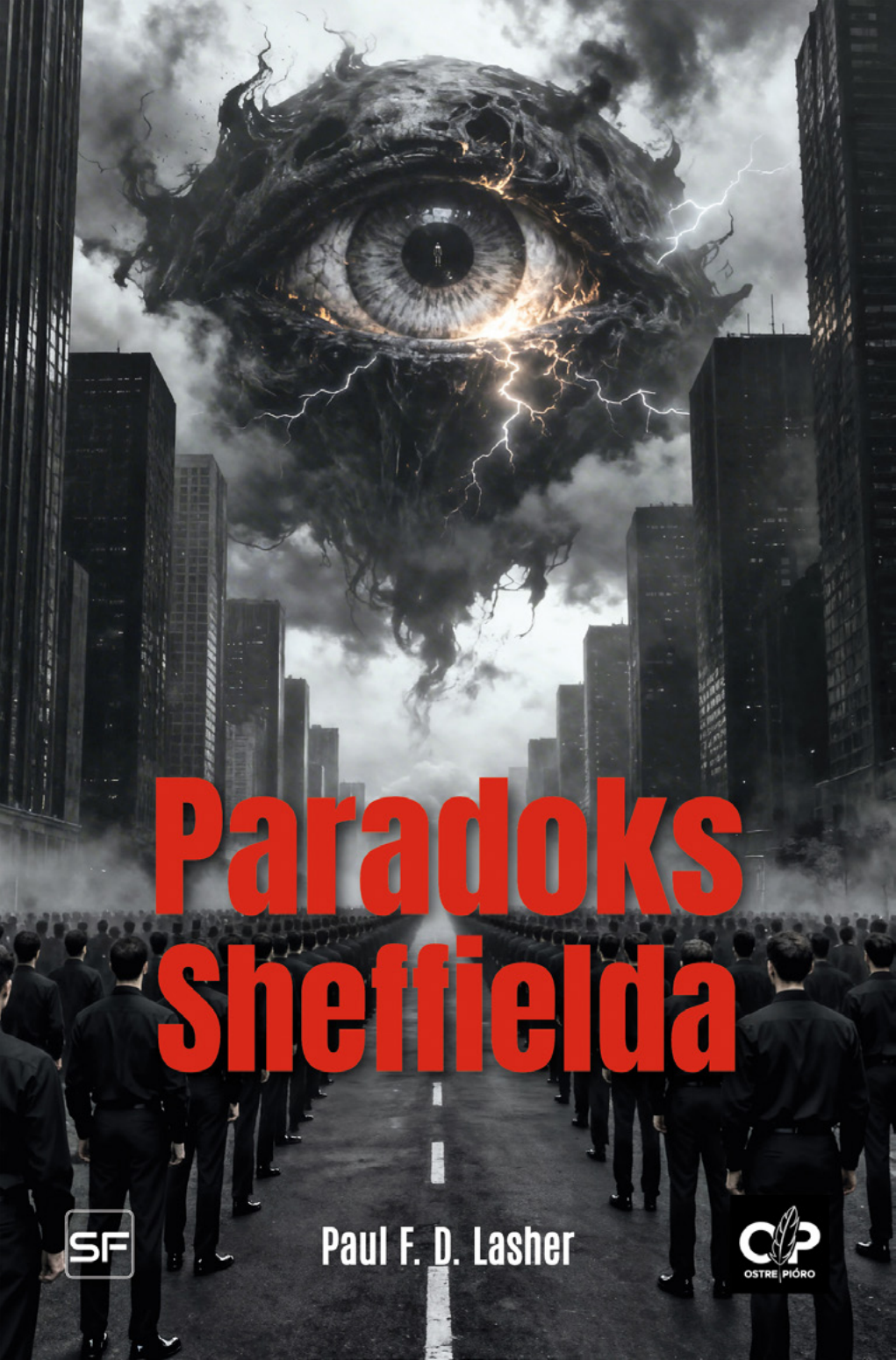

Paradoks Sheffielda
SF
Paul F. D. Lasher
OSTRE PIÓRO

Paradoks Sheffielda

Paul F. D. Lasher

Copyright © Paul F. D. Lasher
Copyright © Ostre Pióro

Wydanie I
Szczecin 2026

ISBN (druk): 978-83-68498-54-7
ISBN (e-book): 978-83-68498-55-4

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Wydawca zezwala na udostępnianie okładki książki w internecie.

Redaktor prowadząca
Monika Całka | www.kropkaispolka.pl

Projekt okładki i stron tytułowych
Katarzyna Seredin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl

Zdjęcie na okładce, ilustracje
Magnific (Freepik)

Redakcja
Aneta Stawiszyńska-Marciniak
Monika Całka | www.kropkaispolka.pl

Korekta
Magdalena Dziekan | magdadziekan.com
Dagmara Jaszczak-Bartosik

Projekt typograficzny, skład i łamanie
Katarzyna Seredin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl



Wydawnictwo
Ostre Pióro
www.ostre-pioro.pl

Rozdział 0

Kostki chodnikowe układały się w monotonny wzór. Jego powtarzalność uderzała. Nie było mnie tutaj od ponad roku, ale jak zawsze, gdy tędy szedłem, liczyłem na jakąś zmianę. Nielogiczne, prawda? Bo niby dlaczego miałaby się zmienić sekwencja kostek chodnikowych?

Tak to jest, gdy umysł bez przerwy potrzebuje nowych doznań, czegoś, co odciągnie go od spowszedniałej rzeczywistości i zapewni zastrzyk dopaminy. A mój mózg był żądny neuroprzekaźników wszelakiej maści.

Pochłonięty myślami przeleciałem trzy tysiące kilometrów, by teraz stanąć przed drzwiami kamienicy moich rodziców. Był rok 2089, a to miejsce prezentowało się tak samo, jak dwieście lat temu. Tata dbał o to, by w wyglądzie naszego domu nic się nie zmieniało. Pozwalał tylko na drobne remonty. Kiedyś mnie to dziwiło. Nie podzielałem niechęci ojca do zmian, pociągała mnie nowoczesna opływowa architektura. Dziś już rozumiałem. Dzięki temu, że dom się nie zmieniał, wspomnienia z nim związane również pozostawały żywe.

– Cześć, tato – powiedziałem, rozglądając się po salonie. Byliśmy sami, ja i mój ciężko chory ojciec. – Gdzie mama?

– Poszła na zakupy. Siadaj. – Wskazał fotel w kącie pokoju.

Nawet ten mebel przywoływał obrazy z przeszłości. To z niego Mikołaj rozdawał prezenty. To na tym fotelu ojciec przylał mi kiedyś pasem, próbując okiełznać nastolatka targanego burzą hormonów.

Usiadłem.

– Jak się czujesz? – zapytałem.

– A jak mam się czuć? Umieram. A mój syn… – Wypowiedź taty przerwał charczący kaszel. – A mój syn udaje, że nie wie, co należy zrobić – zakończył, patrząc mi prosto w oczy.

– Właśnie po to przyszedłem. Podjąłem decyzję.

Tata podniósł się do pozycji siedzącej o własnych siłach, nie korzystając z mechanizmów, w które wyposażone było łóżko.

– No więc, słucham, Bane. Jaka jest twoja decyzja?

Bane? Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz zwrócił się do mnie w ten sposób. Moje imię wypowiedziane na głos mogło oznaczać tylko jedno: robiło się poważnie.

– Dołączę do programu SALUS. Oddam się im, bo tak trzeba – odpowiedziałem głosem pozbawionym emocji.

– Tak! – krzyknął tata, zakaszlał i bez sił osunął się na łóżko. – Bóg dał ci coś, czego nie dał innym. Tak. – Popatrzył mi prosto w oczy. – Tak należy zrobić, synu.

Już chciałem powiedzieć, żeby Boga w to nie mieszał, ale wtedy dostrzegłem, że po jego policzku spływa łza. Mój tata płakał. Płakał ze szczęścia na wieść o tym, że jego syn będzie cierpiał z powodu podjęcia decyzji niezgodnej z jego przekonaniami. Pomyślałem nawet, żeby podejść i go przytulić, lecz ostatecznie nie ruszyłem się z miejsca. Tata pogardzał

ludźmi, którzy uzewnętrzniali swoje emocje. Gdybym okazał mu współczucie, czułby się poniżony.

Zgrzytnęła klamka.

– Bane! – Mama wpadła mi w ramiona. – Kiedy przyleciałeś? Co u cie… – urwała na widok taty, a jej twarz w sekundzie pobladła.

W jej oczach pojawił się strach. Strach przed odpowiedzią na pytanie, które miała zadać.

– Synu, co ty zrobiłeś? – Po jej policzkach popłynęły łzy. – Co ty zrobiłeś?! – krzyknęła, upuszczając klucze. – Chcesz się im oddać? Zostać królikiem doświadczalnym? Chcesz stracić nasze ostatnie wspólne lata? Dlaczego?

Usiadła przy stole. Ukryła twarz w dłoniach i rozszlochała się.

– Bo tak trzeba, mamo. Nie wiń za to taty. Ja naprawdę dostrzegam w tym głębszy sens. Mogę… Mamo! – podniosłem głos, widząc, że nic do niej nie dociera. – Nie chcę żegnać się z wami w ten sposób, proszę… – dodałem ciszej.

Mama otarła łzy, wstała i przytuliła mnie z całych sił.

– Kocham cię, Bane. Pamiętaj o tym – wyszeptała, nie wypuszczając mnie z objęć.

Tego właśnie potrzebowałem. Takiego pożegnania.

Mama jeszcze raz przetarła oczy i usiadła na łóżku obok taty.

– Napisz mi, proszę, kiedy, gdzie… Podobno możemy tam być, pożegnać się przed… – Jej głos znów się załamał.

– Oczywiście. Dam wam znać – odpowiedziałem, dobrze wiedząc, że tego nie zrobię.

To było nasze pożegnanie. Innego nie będzie.

Rozdział 0.1

Nie jestem taki jak inni

Nazywam się Bane Warner. Urodziłem się w roku 2058. Mam trzydzieści jeden lat i jestem wyjątkowy. Wiedziałem o tym już w podstawówce.

Młodość spędziłem w małym miasteczku, w którym przez co najmniej trzy miesiące w roku panowała prawdziwa zima. Ujemne temperatury i metrowe zaspy śniegu były czymś normalnym. Wszyscy chodzili opatuleni po uszy, a ja nie marzłem. Ciepło jakby mnie nie opuszczało. Nawet przy minus dwudziestu stopniach. Wbrew obawom mamy, nie chorowałem i nie odmrażałem sobie uszu. Myślę, że rodzice już wtedy czuli, że różnię się od innych dzieci, ale dopiero gdy poszedłem do liceum, ich zainteresowanie moją odmiennością przerodziło się w prawdziwe pytania.

Zimowe popołudnia spędzałem nad zamarzniętym jeziorem. Czasem jeździłem na łyżwach, innym razem po prostu chodziłem po lodzie, obserwując wzory rysujące się pod butami. Pewnego dnia tafla nieoczekiwanie pękła, a ja z krzykiem wpadłem do wody. Byłem przerażony. Próbowałem wydostać się na powierzchnię, ale za każdym razem, gdy tylko trochę

się podciągnąłem, lód załamywał się pod moim ciężarem. Po kilku nieudanych próbach niespodziewanie się uspokoiłem. Wtedy zauważyłem, że w jednym miejscu tafla jest cieńsza i zrozumiałem. Skoro nie mogę po niej przejść, to się przez nią przebiję. Zacząłem rozbijać lód własnym ciałem, przesuwając się powoli w kierunku brzegu. Pokonałem tak kilkadziesiąt metrów. Wyszedłem z wody, wróciłem do domu i opowiedziałem rodzicom o tym, co się wydarzyło. Nie uwierzyli mi, pomimo tego, że byłem przemoczony do suchej nitki. Gdy ściągałem mokre ubrania, do salonu wpadł, dysząc – jakby przebiegł maraton – nasz niemy sąsiad. Do dziś pamiętam słowa mamy tłumaczące energiczne gesty mężczyzny.

– Widziałem, jak wasz syn wpadł do jeziora, przedarł się przez lód do brzegu i jak gdyby nigdy nic wrócił do domu. Woda ma dziś dwa stopnie. Sprawdzałem rano.

Rodzice zamarli, patrząc to na mnie, to na sąsiada. Mama pobladła i zasłoniła usta dłonią. Tata tylko pokręcił głową, jakby próbował zrozumieć, jak to w ogóle możliwe.

Gdy rozpocząłem studia, moje niezwykłe umiejętności zaczęły przyciągać ludzi, którzy starali się zrozumieć, co tak naprawdę się ze mną dzieje. Zostałem poddany dziesiątkom przeróżnych testów genetycznych, setkom badań w najbardziej zaawansowanych placówkach medycznych na całym świecie.

Okazało się, że… jestem normalny. Zgodnie z opinią profesorów medycyny jedynym organem, który zachowywał się nieszablonowo, był mój mózg. To w nim tkwiło wyjaśnienie tajemnicy ciepłych dłoni, pływania w lodowatej wodzie czy niesamowitej szybkości przyswajania nowych informacji. W odróżnieniu od innych ludzi, miałem ogromny wpływ na procesy zachodzące w moim organizmie. Potrafiłem pokonać

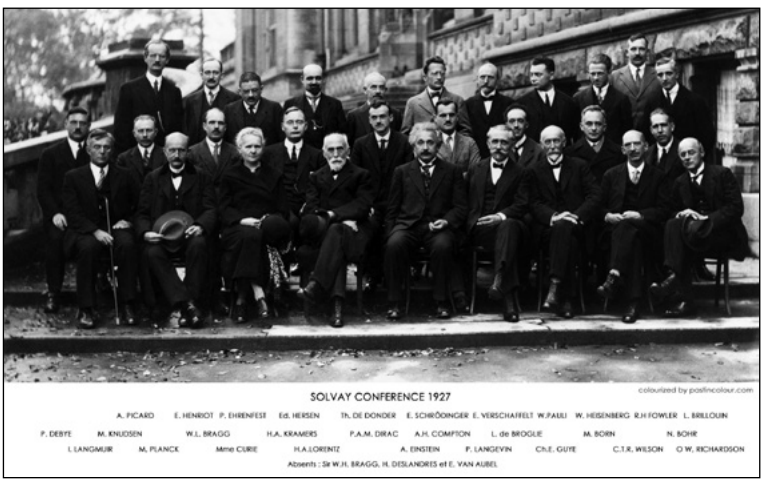
schematy i wypracowane w procesie ewolucji reakcje. Zaintrygowani naukowcy nie poprzestali jednak na diagnozie i dalej szukali przyczyny mojej wyjątkowości.

Pod kierownictwem znanego neurobiologa, profesora Josepha Kaspera, przeprowadzili zakrojone na szeroką skalę badania nad zdolnością umysłu do adaptacji, do zmiany schematów i procesów myślowych, czyli badania nad elastycznością umysłu. Ten sam zespół naukowców opracował testy „przezierności w odpowiedzi na bodźce" oraz zaawansowane analizy biochemiczne, które pozwalały z wysokim prawdopodobieństwem określić, czy dana osoba wykazuje anomalną neuroplastyczność. Gdy wyniki badań zostały opublikowane w czasopismach naukowych, natychmiast rozpoczęto testy i analizy. To wtedy się okazało, że nie jestem jedyny. Na całym świecie istniały jeszcze dwie osoby – mężczyzna i kobieta – o zdolnościach podobnych do moich. Nazwano nas elastami. Ponieważ byłem pierwszym zidentyfikowanym przypadkiem, to na mnie skupiła się cała uwaga. Może to i lepiej – zwłaszcza dla pozostałej dwójki, gdyż, jak się później okazało, zainteresowanie naukowców było nie tyle przywilejem, co ciężarem.

A teraz cofnijmy się do wydarzeń, które sprawiły, że świat nauki zwrócił na mnie swoją uwagę.

Rozdział 0.2

1 października 2088 – 41. Kongres Solvaya



Źródło: piqueshow.com | pastincolour

Kongresy Solvaya były konferencjami naukowymi koncentrującymi się na kluczowych problemach w dziedzinie nauk podstawowych. Najsłynniejszym był kongres piąty, który odbył się w październiku 1927 roku pod hasłem „Elektrony i fotony".

Wówczas dyskutowana była teoria kwantowa. W gronie uczestników tego wydarzenia znalazły się takie osobistości jak: Albert Einstein, Niels Bohr, Werner Heisenberg, Erwin Schrödinger, Max Planck i Maria Skłodowska-Curie. Zdjęcie z piątego kongresu do dzisiaj jest symbolem potęgi ludzkiego umysłu.

Podobno to wtedy Einstein, rozczarowany zasadą nieoznaczoności Heisenberga, miał wymyślić słynne zdanie: „Bóg nie gra w kości", na co Niels Bohr miał odpowiedzieć: „Einstein, przestań mówić Bogu, co ma robić".

Drugim sławnym kongresem Solvaya był kongres trzydziesty siódmy, który odbył się w październiku 2047 roku. Doktor precyzyjnych nauk jądrowych Ernest Ektofaga zaprezentował na nim nowatorski proces rozszczepienia jądra atomu oparty na efektach kwantowych, co doprowadziło do niebywałej wręcz miniaturyzacji reaktorów atomowych. Pomimo silnego sprzeciwu koncernów korzystających z odnawialnych źródeł energii, miała nadejść nowa rewolucja atomowa.

I wreszcie kongres z roku 2088, który poza osobistościami świata fizyki przyciągnął szerokie grono darwinistów oraz biologów molekularnych, na czele z profesorem Josephem Kasperem, twórcą teorii elastyczności umysłu.

Sala Międzynarodowego Instytutu Solvaya w Brukseli pękała w szwach. Był to pierwszy kongres, na którym oczy wszystkich nie były skupione na wybitnych profesorach, lecz na magistrze mechaniki – pierwszym naukowo potwierdzonym elaście. Na mnie.

Po krótkim wstępie na specjalne podwyższenie, przez niektórych nazywane trybuną, wszedł profesor Kasper – krótko ostrzyżony mężczyzna średniego wzrostu, około sześćdziesiątki.

Znałem go dość dobrze, chociaż on sam zawsze powtarzał, że wiem o nim tylko tyle, ile powinienem wiedzieć.

– Szanowni państwo – zaczął profesor. – Dziękuję za zaufanie i wyznaczenie mnie na przewodniczącego kongresu. – Rozejrzał się po sali. – Nieskromnie dodam, że to, czym się z państwem podzielę, jest przełomem w zrozumieniu natury elastów. – Po tych słowach oczy wszystkich skupiły się na mnie. – Elastów nazywanych, całkowicie błędnie, nowym gatunkiem. Wraz z doktorem Michaelem Fritschem uważamy, że elaści są kolejnym etapem ewolucji. Etapem, w którym człowiek przejmuje pełną kontrolę nad pozornie stałymi i uporządkowanymi procesami zachodzącymi w ludzkim organizmie. Etapem, w którym doświadcza pełnego poznania. Panie doktorze…

Profesor zszedł z trybuny, a z pierwszego rzędu siedzeń podniósł się doktor Michael Fritsch, wysoki i chudy wykładowca z mało znanego uniwersytetu w Arizonie. Gdy wchodził na podwyższenie, generatory fotonowe rzuciły na niego snop światła. Fritsch się skrzywił. Mało kto wiedział, że doktor cierpi na światłowstręt i nosi soczewki przyciemniające lub rozjaśniające obraz. Gdy jednak światło zmieniało się zbyt gwałtownie, soczewki nie nadążały, wywołując na jego twarzy grymas bólu.

Ja też się skrzywiłem, ale z innego powodu. Po prostu go nie lubiłem.

– Drodzy państwo – zaczął Fritsch, gdy za jego plecami wyświetlono pierwszy slajd prezentacji. – W ciągu ostatnich dwóch lat przeprowadziliśmy badania, które miały przybliżyć nas do zrozumienia natury elastów. W doświadczeniu pierwszym obiekt poddany został promieniowaniu kancerogennemu. W drugim – na ekranie pojawił się następny slajd – chcieliśmy

sprawdzić funkcje poznawcze elastów oraz ich hipotetyczne zdolności do zapamiętywania pozazmysłowego.

Cofnąłem się pamięcią do obu tych eksperymentów. Pierwszy miał miejsce dwa lata temu.



Od tygodnia przebywałem w szpitalu w Cannes. Utrzymany w jasnych kolorach budynek kliniki wyróżniał się minimalistyczną architekturą z dużymi przeszkleniami, wpuszczającymi do środka mnóstwo światła. Wewnątrz było sterylnie czysto, a powietrze pachniało mieszanką środków dezynfekujących i soli morskiej przynoszonej przez bryzę. W wyjątkowo przestronnej sali, w której przebywałem, rozmieszczono kamery monitorujące każdy mój ruch. Od tygodnia przeprowadzaliśmy proces adaptacji. Mówiąc wprost, uczyłem mózg tego, jak ma się zachować w określonych sytuacjach.

Do pomieszczenia wszedł Doktor Fritsch.

– Gdy pojawią się pierwsze komórki rakowe, niczego pan nie poczuje – powiedział, stając naprzeciw mnie. – Nie potrafimy jeszcze wyleczyć każdego nowotworu, ale potrafimy go bardzo szybko stworzyć. W ciągu kilku dni osiągamy to, co w naturze trwa lata, gdy rak ewoluuje i uczy się oszukiwać układ odpornościowy. Przechodzimy bezpośrednio z fazy początkowej do rozrostu guza nowotworowego. – Fritsch popatrzył mi prosto w oczy. – Organizm nie reaguje, nie niszczy tych mutacji, ponieważ uznaje je za część siebie. Choć wiemy, że tak nie jest, nie możemy nic zrobić. Nie możemy wskazać miejsca objętego chorobą i nakazać limfocytom, by się do niego dobrały. Nie możemy my, zwykli ludzie.

Do sali wszedł asystent Fritscha.

– Panie doktorze, są najnowsze wyniki. Potwierdzają, że pierwsze komórki nowotworowe już się namnażają. Brak reakcji ze strony układu immunologicznego. Daje nam to pięciodniowe okno dla pacjenta. Po tym czasie będziemy musieli przerwać eksperyment.

– Co to znaczy? – zapytałem, spoglądając na Fritscha.

– To znaczy, że jeżeli w ciągu tych pięciu dni nie zmieni pan biegu wydarzeń, użyjemy precyzyjnego lasera, aby wypalić zmutowane komórki i zapobiec przerzutom – odpowiedział z poważną miną doktor. – Zacznijmy ostatni etap adaptacji.

Jak miałem zmienić bieg wydarzeń? To było coś więcej niż ogrzanie rąk. Potrzebowałem szczegółowej wiedzy, aby uelastycznić mózg i wywołać pożądaną reakcję organizmu.

Zaczęła się więc nauka.

Najpierw suche fakty o chorobie. Godziny wykładów. Później setki zdjęć zmutowanych komórek oraz ciał pozbawionych narządów – drastycznych dowodów na to, jakie spustoszenie sieje nowotwór. A to wszystko po to, by wywołać we mnie emocje niezbędne w procesie uelastyczniania mózgu. Zasada była prosta: albo powolna adaptacja i stopniowe rezultaty, tak jak w przypadku zziębniętych rąk, albo silne emocje i szybkie efekty, tak jak w przypadku kąpieli w lodowatym jeziorze.

Końcowy etap adaptacji sprowadzał się do wskazania mi miejsca, w którym rozwija się nowotwór oraz do pokazywania obrazów guza. Co godzinę dostarczano mi komunikaty typu „nowotwór złośliwy, zagrożenie życia". Były też nagrania, żebym mógł zobaczyć, jak szybko rośnie. Później otrzymywałem wyniki badań zestawione ze zdjęciami chorych, którym nie udało się przeżyć, i tak w kółko. Zawsze ten sam schemat:

dane, fakty, informacje, a następnie bodźce mające wywołać określone emocje.

Następnego dnia niebieska plama w moim lewym płucu nadal dynamicznie się powiększała.

Adaptacja odbywała się w szpitalu, w którym zapewniono mi niewielki, nowocześnie urządzony apartament. Co godzinę udawałem się na serię szybkich, ustandaryzowanych badań. Trzeciego dnia odwiedził mnie doktor Fritsch. Jego biały kitel zupełnie nie pasował do wystroju salonu. Mężczyzna usiadł na kanapie i odłożył tablet na stolik.

– Nic, panie Warner. Nawet jednego limfocytu T. Pański organizm nie reaguje. Nic się nie zmienia oprócz ciągłego rozrostu komórek rakowych. Jak tak dalej pójdzie, będziemy musieli położyć pana na stole – powiedział.

– Robię, co mogę – zapewniłem. – Bez przerwy myślę o nowotworze i o tym, co powinno się wydarzyć. Tak mnie to pochłania, że niekiedy tracę kontakt z rzeczywistością i nagle się orientuję, że jestem w innym pomieszczeniu niż wcześniej.

– Wiem. – Fritsch uniósł rękę. – To nie pana wina. Być może postawiliśmy poprzeczkę odrobinę za wysoko. Proszę dać z siebie wszystko, panie Warner. – Wstał. – Na tablecie znajdzie pan najnowsze zdjęcia nowotworu. Rośnie szybciej, niż przewidywaliśmy. Jutro po południu wypalimy komórki rakowe. Nie mamy już czasu – rzucił na zakończenie i wyszedł.

Popatrzyłem na zdjęcia. Plama zmieniła kolor z jasno- na ciemnoniebieski, nabierając złowieszczego wyglądu. *Może to dobrze*, pomyślałem. Pomimo całkowitego oddania sprawie byłem już tym wszystkim zmęczony. Chciałem wrócić do domu i chociaż przez kilka dni pożyć normalnie. Zazdrościłem innym elastom anonimowości. Dawała im szansę na zwyczajne życie.

Nazajutrz, gdy wszedłem do sali zabiegowej, przywitały mnie ponure miny personelu. Dostali zdjęcia z ostatniego badania. Plama oznaczająca nowotwór stała się czarna i niemal dwa razy większa niż ta na prześwietleniach z wczoraj. Wszyscy byli zawiedzeni, łącznie ze mną. Wtedy do sali wpadł zdenerwowany doktor Fritsch.

– Nie mamy czasu – powiedział zdecydowanym tonem. – Proszę przygotować pacjenta do zabiegu. Zaczynamy natychmiast!

– Zaraz, zaraz! Co się dzieje? – zapytałem nerwowo.

– Zmiany zachodzą zbyt szybko, panie Warner – wyjaśnił pełnym napięcia głosem Fritsch. – Nie możemy dłużej czekać. Nasze algorytmy tego nie przewidziały.

Mina mi zrzedła. Odpłynąłem na kilka sekund, podczas których przed oczami pojawiły mi się nagłówki serwisów informacyjnych: „Elasta zmarł podczas eksperymentu" czy „Nie podołał zadaniu – ewolucja zawiodła". Pomyślałem o rodzicach… Sekundę później byłem już spokojny. Przecież oni, ci wszyscy lekarze, wiedzą, co robią…

– Rozumiem, proszę zatem działać – odparłem.

Fritsch wpatrywał się we mnie bez słowa. Wyglądał, jakby nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Mimo to skinął głową i wyszedł.

Zabieg trwał pięć godzin, wybudzenie z narkozy – piętnaście minut. Gdy otworzyłem oczy, widziałem jak przez mgłę. Po chwili ostrość wzroku wróciła. Nad moją klatką piersiową wisiał jakiś przyrząd, zapewne do bezinwazyjnej biopsji. Wyglądał tak samo jak ten, który wcześniej wypluwał zdjęcia tego, co we mnie rosło. Powoli odzyskiwałem pełną zdolność widzenia. Rozejrzałem się.

– Tata? Co ty tu robisz?

Na krześle w rogu sali siedział mój ojciec. Miał ponurą minę, ale to akurat w jego przypadku mogło kompletnie nic nie znaczyć. Milczał. Spojrzał tylko pytająco na kogoś, kto stał przy łóżku z mojej lewej strony. Z dużym wysiłkiem odwróciłem głowę. To był Fritsch. Od razu wyczułem, że coś jest nie tak.

– Panie Warner, zabieg trwał godzinę dłużej, niż planowaliśmy… – zaczął roztrzęsiony naukowiec. – Nie udało się nam usunąć wszystkich komórek – dokończył łamiącym się głosem.

– Nie udało się? O czym pan mówi?! – Miałem nadzieję, że się przesłyszałem. Kręciło mi się w głowie.

– Ja za to odpowiadam, panie Warner. Rak rozwija się tak szybko, że nic nie możemy zrobić… Podejrzewamy, że zawiódł algorytm dozujący. Bardzo mi przykro. Zostało panu kilka miesięcy życia. Musimy…

Reszty nie usłyszałem. Miałem przed oczami mamę oglądającą moją powolną agonię, tatę, którego wyjątkowy syn zamienia się w wyjątkowe warzywo, a później umiera. Jak mogli się tak pomylić?! Jak?! Minęło kilka sekund, zanim wróciłem do rzeczywistości.

Ku mojemu zdziwieniu sytuacja zmieniła się diametralnie. Fritsch stał uśmiechnięty, a tata kiwał głową z uznaniem.

– No i po wszystkim – powiedział doktor i się wyszczerzył.

– Co? O czym pan mówi? – zapytałem skołowany.

– Nie było żadnego zabiegu, panie Warner. – Fritsch wyglądał tak, jakby właśnie wyszedł z łazienki po relaksującej kąpieli. – Uśpiliśmy pana na kilka godzin, nawet nie przewieźliśmy pana do sali zabiegowej, leżał pan tutaj przez cały czas.

– Co… Ale mówił pan, że rak…

– Tak, wiem, co mówiłem. Przepraszam za to. Musieliśmy uciec się do pewnego fortelu. Chyba nie sądził pan, że możemy ograniczyć adaptację do zdjęć? – Fritsch podszedł do mojego taty. – Potrzebowaliśmy wsparcia. To musiało wyglądać naturalnie, a pan miał uwierzyć, że to naprawdę koniec. Emocje musiały być autentyczne, panie Warner. Nawet wstrzyknąłem sobie adrenalinę, żeby sprawiać wrażenie zdenerwowanego – dodał z szerokim uśmiechem.

Spojrzałem na tatę, nie wyglądał na przepełnionego poczuciem winy. Siedział i patrzył na mnie tak, jakby nic się nie stało.

– Czyli te zdjęcia zostały sfabrykowane? Oszukaliście mnie?

– Zdjęcia były prawdziwe. Co więcej, komórki rzeczywiście namnażały się szybciej niż zakładaliśmy. Dlatego musieliśmy przesunąć eksperyment o jeden dzień.

– Wy skur... – urwałem z szacunku do ojca. – Jak mogliście?! Tato, a ty? Jak mogłeś mi zrobić coś takiego?!

– Uznałem, że tak trzeba, Bane. Popatrz, czego dzięki temu dokonałeś – odpowiedział spokojnym głosem.

W tym momencie doktor Fritsch odwrócił w moją stronę biomonitor.

– Musieliśmy widzieć każdą milisekundę. – Postukał w ekran. – To są ujęcia nowotworu z pierwszych sekund po pana przebudzeniu. Udało się je zrobić dzięki temu urządzeniu. – Wskazał szary klosz wiszący na wysokości mojej klatki piersiowej.

Na ekranie widniała czarna plama. Zajmowała połowę jego powierzchni, co oznaczało, że rak jeszcze się rozrósł.

Fritsch stuknął w panel.

– A to są ujęcia z chwili, gdy poinformowaliśmy pana o błędzie w algorytmie i o przerzutach.

Czarna plama nadal tam była, tym razem jednak pojawiły się też jasnoniebieskie obiekty, małe kulki, które wniknęły w nią, przerywając niewidzialną barierę. Limfocyty T pochłaniały raka w takim tempie, że chwilę później na ekranie nie zostało nic. Fritsch odsunął monitor.

– Panie Warner. Na naszych oczach w ciągu kilku sekund zmusił pan swój organizm do zaatakowania komórek, które wcześniej uznawał on za swoje. Pozbył się pan nowotworu złośliwego w dokładnie pięć i pół sekundy! – oznajmił podekscytowanym głosem.

– Jestem z ciebie dumny, synu – dodał tata.

Ja jednak myślami znowu byłem gdzie indziej.

Współpracowałem, angażowałem się w pełni, zgadzałem się na wszystko, a oni i tak mnie oszukali. Wykorzystali moje zaufanie, manipulowali mną. Ale mimo to… rozumiałem ich. Czy mieli wybór? Czy bez kłamstw i półprawd udałoby się osiągnąć cel? A może to ja powinienem był postarać się bardziej…

– Trudno mi przełknąć to, co się stało. Ale wybaczam ci, tato. Widzę, że udajesz spokój, choć dobrze wiem, ile cię to kosztuje – powiedziałem.

Przeniosłem wzrok na Fritscha.

– Natomiast panu gwarantuję, że to ostatni eksperyment, jaki pan na mnie przeprowadził.



W sali instytutu Solvaya zapadła cisza. Wszyscy uczestnicy Kongresu wpatrywali się we mnie. Oczywiście doktor Fritsch w prezentacji nie wspomniał o mojej reakcji na podstęp, skupił się na swoich niezaprzeczalnych zasługach. Mimo to

eksperyment opisał doskonale. Czuć było pasję, oddanie sprawie i emocje. Wiedział, że nazwisko Fritsch zapisze się na kartach historii już na zawsze. W atmosferze triumfu naukowiec zszedł z podwyższenia, a jego miejsce zajął profesor Kasper, by przedstawić drugi eksperyment.

Ponownie cofnąłem się myślami do tamtych wydarzeń.



Profesor notował coś w zeszycie. Mimo zaawansowanej technologii wciąż lubił tradycyjne metody. Ja przyciskałem wacik do przedramienia, tamując krew po trzecim już dzisiaj wkłuciu.

– Widzisz, Bane – odezwał się, nie odrywając wzroku od zapisków. – Dotarcie do tego etapu, w którym obecnie się znajdujemy, a właściwie, w którym ja się znajduję, zajęło ewolucji ponad dwadzieścia milionów lat.

Kasper podniósł zeszyt bliżej światła, tak jakby nie mógł odczytać własnego pisma.

– Potrzeba było wielu stuleci, byśmy nauczyli się chodzić w pozycji wyprostowanej. Miliony lat zajęło naszym organizmom wykształcenie większego i wydajniejszego mózgu.

Profesor wstał i podszedł do szafki z ampułkami w różnych kolorach.

– Mózgi tak nam urosły, zwiększając rozmiar czaszek, że rodzenie dzieci stało się problematyczne. – Naukowiec wodził oczami po półkach, nie przestając mówić: – Ewolucja pozostawiła więc noworodkom ciemiączko. Dzięki niemu czaszka dziecka nie jest sztywno zrośnięta. Kości mogą się z łatwością poruszać względem siebie, a taka elastyczność jest niezwykle ważna podczas naturalnego porodu.

Kasper wyciągnął z szafy niebieską fiolkę i wrócił do biurka.

– Miliony lat, Bane. Miliony lat – mruknął, zamknął zeszyt i odwrócił się w moją stronę. – Darwiniści spierali się od bardzo dawna, jakie jeszcze zmiany biologiczne mogą zajść w ciele człowieka, ale żaden z wielkich panów profesorów nie przewidział ciebie. Nikt. I trudno się dziwić, patrząc na dane, którymi dysponowaliśmy do czasu odkrycia elastów. Dane wskazujące, że na poważne zmiany fizjonomiczne i strukturalne ewolucja potrzebuje wspomnianych milionów lat. Jesteś wyjątkowy, Bane. – Kasper wyciągnął palec wskazujący i stuknął mnie w czoło. – I wygląda na to, że takich jak ty jest niewielu. Proszę. – Profesor wręczył mi zeszyt. – Przygotowałem dla ciebie krótki tekst o dziedziczeniu genów. Jak szybko się tego nauczysz?

– Przecież pan wie. Wystarczy, że spojrzę.

W tym zakresie mój mózg jest elastyczny, odkąd sięgam pamięcią. Potrafię przyswajać wiedzę wręcz automatycznie. Mózg w jednej chwili zamienia wszystkie litery i wyrazy w zbiór pojęć i obrazów, który trafia bezpośrednio do pamięci.

– Sprawdź – odpowiedział z uśmiechem.

Niechętnie wziąłem zeszyt. Otworzyłem na zaznaczonej stronie i zacząłem czytać.

– Co jest…? – Z zaskoczeniem odkryłem, że muszę, jak normalny człowiek, czytać każdy wyraz.

Spróbowałem na głos, jakby miało to coś zmienić.

– „Na skutek wziernej regulacji ekspresji genów reakcyjnych, od pięćdziesięciu czterech do sześćdziesięciu procent aktywnych alleli pochodzi od ojca". Co się dzieje? – zapytałem, spoglądając z dezorientacją na profesora.

– Potrafisz automatycznie zapamiętywać tylko to, co jest ci znane, Bane – odpowiedział.

Sięgnął po zeszyt, nabazgrał w nim coś i mi go oddał.

Tym razem to samo zdanie w ciągu milisekundy trafiło wprost do mojego ośrodka pamięci długotrwałej. Chociaż nie, nie to samo.

– „Na skutek regulacji ekspresji genów od pięćdziesięciu czterech do sześćdziesięciu procent aktywnych alleli pochodzi od ojca". Cholera! Co się właśnie stało?

– Adaptacja. Gdy tylko odsetek nieznanych ci słów w danym zbiorze przekracza pewną granicę, musisz adaptować się od nowa. Tak jak przewidziałem. To dowodzi tego, że elaści nie zapisują w pamięci ciągu pojęć, wyrazów, lecz samo zrozumienie. Żeby, jak to mówisz, „automatycznie przyswoić treść", musisz ją najpierw zrozumieć. – Profesor podrapał się po głowie. – Powiem więcej. Gdyby w tym pierwszym zdaniu znalazło się wytłumaczenie słów, których wcześniej nie znałeś, wtedy wszystko w ciągu milisekund trafiłoby do twojej pamięci! A to dopiero początek.



Przez tydzień, z lepszymi lub gorszymi wynikami, potwierdzaliśmy założenia teoretyczne profesora. Kasper nie widział świata poza mną i swoimi badaniami. Żona z córką odeszła od niego już trzy lata temu, czym zresztą specjalnie się nie przejął. Kiedyś, po niemałej dawce alkoholu, wyjawił mi nawet, że odetchnął z ulgą, gdy to się stało, bo wreszcie mógł się skupić na tym, co naprawdę ważne. Specyficzny człowiek.

Pod koniec trzeciego tygodnia prób przeszliśmy do drugiego etapu – właściwego zapamiętywania pozazmysłowego. Wtedy to określenie nic dla mnie nie znaczyło. Nie wiedziałem jeszcze,

że to, co miało nastąpić, na zawsze zmieni moje postrzeganie rzeczywistości.

Byliśmy w jednej ze szpitalnych sal. Na środku znajdował się metalowy stół oraz dwa krzesła. Kasper usiadł i z kieszeni lekarskiego kitla wyciągnął składany tablet. Rozłożył go i wskazał otwartą dłonią na drugie krzesło. Usiadłem.

– Dziecko uczy się na różne sposoby – zaczął. – Zazwyczaj musi dotknąć, obejrzeć, powąchać, posmakować. Dorosły, by poznawać to, co nowe, używa przeważnie dwóch zmysłów: wzroku oraz słuchu. Rzadziej korzysta z dotyku, prawie w ogóle ze smaku i węchu.

Kasper postukał w tablet, po czym odwrócił ekran w moją stronę. Zobaczyłem napis: „Każdy organizm potrzebuje bodźców".

– Zamknij oczy i połóż dłoń na stole – polecił.

Zrobiłem, jak prosił. Coś stuknęło i po chwili poczułem pod palcami wypukły kawałek papieru o wysokiej gramaturze.

– Rusz dłonią – dodał.

Kilka centymetrów w prawo wyczułem małe wypustki. Przejechałem po nich palcem wskazującym. To było to samo zdanie zapisane alfabetem Braille'a.

– Otwórz oczy i popatrz na tablet – kontynuował profesor.

Wykonałem polecenie.

„01001110 011…".

Tym razem zdanie było zapisane w systemie binarnym.

– A teraz wyobraź sobie, że zero to zapach rosołu, a jeden to zapach siarki. – Kasper położył tablet na stole. – Wyobraź sobie, że zero to smak jabłka, a jeden kawy. Albo że wszystko, co gorzkie i słodkie, to zero, a słone i kwaśne, to jeden. Albo…

– Panie profesorze, dopłyniemy do brzegu? Rozumiem. W ten sposób można zakodować każdą informację.

– Poczekaj, Bane. Cierpliwości. – Naukowiec się uśmiechnął. – Są na świecie ludzie, którzy poprzez węch czują smak, słyszą kolory czy smakują dźwięk. To synesteci[1]. Ja chciałbym pójść o krok dalej. Z tobą. Chciałbym, żebyś potrafił przyswoić tysiące linijek kodu binarnego w sekundę.

Profesor Kasper sięgnął do kieszeni, po czym położył na stole ampułkę z niebieskim płynem.

– To jest binaryt – powiedział z takim triumfem w głosie, jakby miał za to dostać Nagrodę Nobla.

Po chwili niezręcznej ciszy zapytałem:

– Binaryt?

– Substancja złożona z dwóch rodzajów wzajemnie nieoddziałujących molekuł. – Był tak podekscytowany, że na jego twarzy pojawiły się wypieki. – Nieoddziałujących, ale połączonych ze sobą na stałe wiązaniami chemicznymi. Molekuł, które nie występują nigdzie na świecie, w żadnym znanym organizmie. Na tyle dużych, że możemy uporządkować je szeregowo, oraz na tyle małych i obojętnych chemicznie, że sto procent z nich pokonuje barierę krew-mózg.

Wtedy zrozumiałem. Zrozumiałem, po co był ten cały wstęp o kodzie binarnym, smakach i zapachach. Binaryt miał posłużyć do przekazania mi informacji z pominięciem zmysłów. Dlatego Kasper nazwał ten proces zapamiętywaniem pozazmysłowym. Coś musiałoby dozować do mojego krwiobiegu poszczególne molekuły binarytu. Jedne oznaczałyby zera, drugie – jedynki. A ja miałem zaadaptować mózg, uelastycznić go tak, by każdą

1 Synestezja – zdolność, dzięki której doświadczenia jednego zmysłu (np. słuchu, wzroku) wywołują jednocześnie wrażenia charakterystyczne dla innych zmysłów. Na przykład czerwony kolor może wywoływać uczucie ciepła, a cyfra cztery budzi skojarzenie z kolorem zielonym.

cząstkę, każdą z tych molekuł, przetwarzał wprost na informację, kodując ją w pamięci.

– Panie profesorze. Jest pan… – wykrztusiłem. – Jak pan na to wpadł?

– Mówiłem ci kiedyś, Bane, że nie potrafię myśleć o niczym innym.

Koncept, że wiedzę można podać w zastrzyku, wywołał we mnie euforię. Szybko jednak ustąpiła ona miejsca pytaniu, które nagle pojawiło się w mojej głowie: *A co, jeżeli ktoś pozna tajniki tego procesu i wykorzysta go przeciwko mnie?*

Profesor musiał zauważyć nagłą zmianę mojego nastroju.

– Ty będziesz otwierał i zamykał drzwi – powiedział z powagą w głosie. – Nauczysz się sekwencji zer i jedynek kontrolujących transmisję. Tylko ty będziesz ją znał. Pierwsza i ostatnia dawka binarytu staną się twoimi komendami: otwierającą i zamykającą. Jeżeli jednak tak zdecydujesz, już drugą dawką będziesz mógł przerwać transmisję.



Przez kolejne tygodnie ćwiczyliśmy. Adaptowałem mózg tak, by przekształcał cząstki binarytu na symbole i ich znaczenia. Starannie uczyłem się języka binarnego. Po każdej nowej dawce wiedzy dozowaliśmy mikrodawki cudownego wynalazku, które miały mnie nakierować na właściwą adaptację. Zaangażowałem się całym sobą. Chciałem, żeby to się udało. Marzyłem, by fikcja stała się rzeczywistością. Gdzieś w środku czułem, że to właściwa droga.

Po dwóch miesiącach nadszedł czas próby. W sali szpitalnej nie było nikogo. Jedynie ja i Kasper. Tylko do niego miałem pełne zaufanie. Podłączona do mnie aparatura mrugała i pikała

na wszelkie możliwe sposoby. Profesor w ciszy analizował setki parametrów określających mój aktualny stan. Z pewnością chciał się upewnić, że wszystko przebiega prawidłowo. Był przygotowany na każdą okoliczność. Za ścianą czekał zespół niczego nieświadomych medyków, których profesor ściągnął pod pretekstem analizy trudnego przypadku klinicznego – pacjenta z rakiem opon mózgowych. Nieistniejącego pacjenta.

Pierwszy poadaptacyjny test z pojedynczymi, nic nieznaczącymi zerami i jedynkami, zakończył się sukcesem. Ze stuprocentową dokładnością potrafiłem określić, czy wstrzyknięty we mnie binaryt to zero czy jeden. Odnajdywałem te cyfry w pamięci chwilę po pokonaniu przez binaryt bariery krew-mózg. Teraz przyszła kolej, by przetestować zdanie: „Każdy organizm potrzebuje bodźców" w wersji ze zmienionym szykiem wyrazów, żeby sprawdzić, czy mózg rozpozna je mimo modyfikacji.

W specjalnej aparaturze zbudowanej z setek kilometrów nanorurek umieszczono dokładnie pięć uporządkowanych w szeregu, molekuła za molekułą, nanolitrów binarytu z dodatkami – zer i jedynek na otwarcie, właściwego zdania oraz zer i jedynek na zamknięcie.

– Gotowy? – zapytał wyraźnie podekscytowany, ale i zdenerwowany Kasper.

– Gotowy – odpowiedziałem pewnie.

Profesor stuknął w tablet. Usłyszałem delikatny, stłumiony syk aparatury. Niespodziewanie naszły mnie wątpliwości, czy aby na pewno zabieramy się do tego od dobrej strony. Może lepiej byłoby... *Ech, trochę późno na takie przemyślenia, Bane. Zaufałeś... Teraz nie ma już odwrotu...*

Nagle poczułem mdłości, które z każdą sekundą przybierały na sile. Usiadłem, chwytając się za brzuch. Kasper patrzył na mnie

z niepokojem. Ja, zgięty wpół, z trudem łapałem powietrze. Profesor gwałtownie odwrócił się na pięcie i zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi. Nie prostując się, podniosłem rękę w geście sprzeciwu.

– Niech pan poczeka – wyszeptałem.

Mdłości zniknęły. Poczułem irracjonalny niepokój, a następnie w mojej głowie zaczęły się pojawiać słowa, które po chwili ułożyły się w zdanie:

– Wszystkie bodźce potrzebują organizmu – powiedziałem.

– Tak! – Kasper aż podskoczył z radości. – Tak!



Profesor zakończył prezentację. Znów wszyscy patrzyli na mnie w milczeniu. Nie były to jednak te same pełne uznania spojrzenia, co chwilę wcześniej. Pomyślałem, że to za dużo nawet dla naukowców, którzy na co dzień zmagają się z nieintuicyjnymi teoriami, jak chociażby teorie świata kwantów. Nie... to było coś więcej. Ten eksperyment wykazał, że mam coś, czego nie ma nikt inny.

– Wiem. Wiem, że to, co zaprezentowaliśmy, wydaje się fantastyką naukową. – Profesor przerwał ciszę. – Jednak tak naprawdę jest to tylko potwierdzenie teorii o zdolnych do adaptacji mózgach elastów. Kolejny krok naprzód... krok, który niestety wiąże się z komplikacjami.

Komplikacjami? Popatrzyłem na profesora. O czym on mówi?

Kasper spojrzał na mnie i zrobił pauzę. Długą pauzę. Wyglądał tak, jakby chciał coś dodać, jakby przerwał tylko po to, by podkręcić emocje przed ważnym oświadczeniem. Po chwili jednak odwrócił wzrok, zszedł z podwyższenia i usiadł w pierwszym rzędzie, kilka metrów przede mną.

Podczas przerwy zniknął.

Spis treści

Rozdział 0 4

Rozdział 0.1
Nie jestem taki jak inni 7

Rozdział 0.2
1 października 2088 – 41. Kongres Solvaya 10

Poznaj inne nasze książki:
Antologia z dreszczykiem – zbiór opowiadań

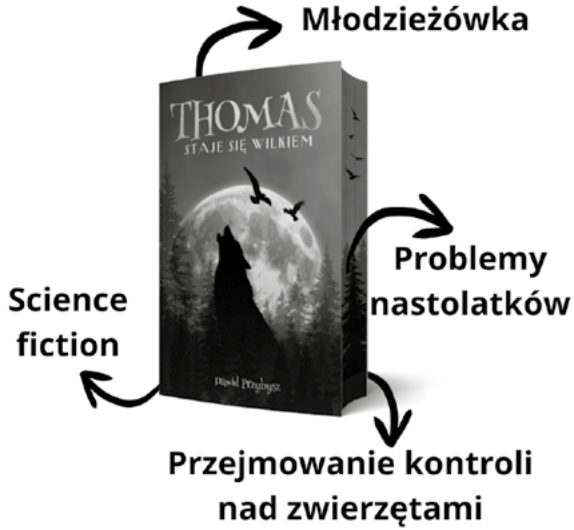


Zamknięte drzwi. Kroki na schodach.
Cisza dzwoniąca w uszach.

Ta antologia z dreszczykiem zabierze Cię w miejsca, w których zwykła codzienność pęka jak cienka szyba, odsłaniając coś dużo mroczniejszego. W tych opowieściach śmierć nie zawsze oznacza koniec. Czasem bywa początkiem zemsty albo przestrogą. To, co ukryte za ścianą, może znać Twoje imię. Zwykły zakręt na drodze okazuje się granicą między światami. Niepokojący sen staje się rzeczywistością, z której nie ma już ucieczki. A choroba – choć zabiera nadzieję – może się okazać początkiem jeszcze większego koszmaru. Opowieści, które nie krzyczą, tylko szepczą długo po zmroku.

Światło w korytarzu nagle staje się koniecznością, ale czy na pewno uchroni cię przed tym, co czai się w ciemności?

Thomas staje się wilkiem – Dawid Przybysz



Wyobraź sobie urządzenie, które może przenieść Twój umysł do pupila domowego. Możesz patrzeć na świat jego oczyma. Jest tylko jeden warunek: nie możesz przenosić się w umysły dzikich zwierząt.

Poznaj historię Thomasa, Twojego rówieśnika, który dla takiego urządzenia gotów jest poświęcić bardzo wiele. Oczywiście szybko łamie jedyny zakaz, jakim obwarowane jest IconAnimal. Jak daleko się posunie? I co się stanie, gdy granice między grą a rzeczywistością zaczną się zacierać?

Powieść nie tylko dla dzieci i młodzieży!

Wrona z Madenfal – Przemek Osowski



Nikt nie opuścił Gjaladenu od pokoleń. Mgławice pochłaniają wszystko. Kształtują. Zaburzają pory roku, sieją szaleństwo wśród zwierząt, rodzą potwory z ludzkich lęków. Hjalkan dorastał w tym świecie, uwięzionym, wypaczonym, obojętnym na modlitwy. Poznaj jego spojrzenie, pełne nieugiętej ciekawości, nieufności i gniewu wobec wszystkiego, co ukrywa się w purpurowej mgle.

Aplikacja CTRL+Life – Adam Bugaj



Klikasz? Scrollujesz? Lajkujesz? Świetnie, bo *Aplikacja CTRL+Life* serwuje sprawiedliwość jak fast food: szybko, brutalnie i uzależniająco.

Tymon Moś, młody dziennikarz charakteryzujący się ciętym językiem, wpada na trop aplikacji, w której skrzywdzeni publicznie oskarżają swoich oprawców, a anonimowy mściciel, ku uciesze tysięcy widzów, wymierza kary.

Na żywo. Gdy Tymon zaczyna rozplątywać tę sieć, na jego drodze staje charyzmatyczny i niebezpieczny problem: komisarz Jakub Kowal. Między nimi iskrzy, ale nie tak, jak w komedii romantycznej.

„CTRL+Life" to nie kolejny thriller. To viralowa pętla: ofiary, oprawcy, widzowie – wszyscy zamieniają się rolami. Każdy może zostać bohaterem livestreamu, z którego nie wychodzi się żywym. Tu lajki zamieniają się w wyroki.

W tym świecie nie ma bohaterów. Są tylko potwory w różnych maskach. To jazda bez trzymanki przez bagno ludzkich instynktów, gdzie nawet twoje sumienie będzie się czuło brudne. A Ty, Czytelniku, jesteś kolejnym followerem – przynajmniej dopóki ktoś nie kliknie na Ciebie.

Chcesz oglądać? Pamiętaj: każdy lajkuje do czasu, aż sam nie trafi na ekran.

Zajrzyj do naszego sklepu:
www.ostre-pioro.pl